

Piotr WOJCIECHOWSKI

KRESY UTRACONE – KRESY OCALONE

Mamy Ojczyznę – to znaczy: jesteśmy zakorzenieni razem, pojmujemy, że ojczyste symbole nas wyrażają. To dlatego – jako wspólnota właśnie – gotowi jesteśmy do działania razem, do jakiegoś zapomnienia o swoich pożytkach czy wygodach, gdy porywa nas perspektywa zrobienia razem czegoś z sensem, czegoś dla dobra wspólnego, czegoś dla tej tajemniczej całości, zawierającej w sobie granicę. Osobiste lub wspólnotowe kultywowanie pamięci zawsze związane jest z czasem i miejscem.

Ojczyzna – kiedy myślę –
wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam,
mówi mi o tym serce,
jakby ukryta granica,
która ze mnie przebiega ku innym,
aby wszystkich ogarniać
w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas:
z niej się wyłaniam...
gdy myślę Ojczyzna –
by zamknąć ją w sobie jak skarb.
Pytam wciąż,
jak go pomnożyć,
jak poszerzyć tę przestrzeń,
którą wypełnia.
Karol Wojtyła, *Myśląc Ojczyzna...*

Próbuję sobie uzmysłwić sens tego zwrotu – „ukryta granica, która ze mnie przebiega ku innym”. To typowa struktura paradoksu, to opis linii, która jak „granica” ma dzielić, a jednak nie dzieli. Ta linia, jak droga do przebycia, biegnie „ku innym”. Rozważanie tego paradoksu umacnia i uspakaja. W samym pojęciu Ojczyzny tkwi obecność granicy, która dzieli to, co przedmiotowe, materialne, od tego, co niewidzialne, intelektem objęte, duchem przeczute, sercem pokochane. To wszystko, zwyczajne i materialne, idealne i duchowe dopiero wtedy staje się ojczystym, gdy z innymi to widzę, a do tego obejmuję, przeczuwam, kocham. Dlatego „przebiega ku innym” linia, która jest granicą.

Wzgórza i doliny Lubelszczyzny, Zamojszczyzny, Hrubieszowskiego to geomorfologiczne, topograficzne konkrety. Ale sposób, w jaki mam je w sobie – a mam w sobie także lubelską ulicę Narutowicza, rynek w Szczepieszynie i zakręty rzeki Tyśmienicy – to ta b i e g n ą c a k u i n n y m duchowa, intelektualna jakość. Ona nie dzieli mnie od przyjaciół, którzy noszą w pamięci leśne drogi

i słoneczne polany Beskidu Wyspowego, ani od tych, którzy zamki i lasy Kotliny Kłodzkiej mają przed oczyma, gdy ktoś powie: „Ojczyzna”. To mnie współzakorzenia z nimi, z nimi też współwyraża. To czyni już nie mnie, ale „nas” gotowymi do działania, do ofiary. I niejednemu zadźwięczy inną strofą: „Byle cię można wspomóc, byle wspierać, nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać”¹.

Posiadanie ojczyzny nie jest żadną formalną przynależnością państwową, nie jest związkiem „krwi i ziemi” narzuconym przez imperatyw mitu. Jest to rzeczywistość kulturowa. Trzy podstawowe funkcje kultury to: łączenie jednostek we wspólnotę, nadawanie sensu przemijaniu, historii, cierpieniu, miłości oraz sycenie i wywoływanie głodu piękna, sensu, wspólnoty, wywoływanie sytuacji, w której kultura nie tylko trwa, ale żyje, powiela się, rozwija.

Kiedy przywołujemy te funkcje, staje się od razu jasne, że kulturowo ukształtowane rozumienie Ojczyzny spełnia je wszystkie. Mamy Ojczyznę – to znaczy: jesteśmy zakorzenieni razem, pojmujemy, że ojczyste symbole nas wyrażają. To dlatego – jako wspólnota właśnie – gotowi jesteśmy do działania razem, do jakiegoś zapomnienia o swoich pożytkach czy wygodach, gdy porywa nas perspektywa zrobienia razem czegoś z sensem, czegoś dla dobra wspólnego, czegoś dla tej tajemniczej całości, zawierającej w sobie granicę.

Ludzie przeżywający świadomość historycznego ukształtowania przestrzeni w Kazimierzu Dolnym – wobec fary, kamieniczek rynku, zamku, baszty, bóżnicy, klasztoru, wobec zamku w Janowcu – odczuwają sens swojego życia w historii, swojej obecności, godzą się z sensem przemijania.

Młodzi, którzy po obejrzeniu Muzeum Powstania Warszawskiego tworzą jakieś piosenki o powstańcach, rysują komiksy, podejmują temat powstania w filmie animowanym, przygotowują inscenizacje – oni wszyscy przetwarzają impuls kulturowego przeżycia na życie kultury, rozwój, powielanie motywów, wątków, form.

M y ś l ą c O j c z y z n a, muszę być świadomy tego, że toczy się walka o to, czy pamięć zbiorową kształtować będzie kultura pamięci, czy manipulacja mediów i politycznych graczy. Można bowiem Ojczyznę współkochać, można też Ojczyznę szantażować się wzajemnie. Osobiste lub wspólnotowe kultywowanie pamięci zawsze związane jest z czasem i miejscem. Zdarza mi się ostatnio uczestniczyć w rozmowach rozmaitych inteligenckich gremiów, czy to w Warszawie, czy gdzie indziej. Próbuję rozmowę kierować na problem Kresów. Żywy jest w świadomości inteligenckiej mit Kresów, z wielką emocjonalnością pojmowany problem wierności Kresom utraconym, Polakom, którzy tam zostali, problem pamiątek niszczących, zapomnianych grobów, krzywd nierozliczonych. To dobrze, że mit ten funkcjonuje jako część myślenia o Ojczyźnie.

¹ I. K r a s i c k i, *Myszeis*, w: tenże, *Dzieła wybrane*, t. 1, PIW, Warszawa 1989, s. 73.

Boli mnie i niepokoi to, że ten mit zastania i odsuwa w cień pewną sferę bieżących problemów, zaniedbanych obowiązków.

My przecież dalej mamy Kresy Wschodnie, mamy obszar od Puszczy Rominckiej na Północy, przez ziemie nadbużańskie aż po przedgórze Bieszczad na Południu. Ze świadomości elit naukowych, twórczych, biznesowych, medialnych te ziemie wypadły, zgubiliśmy je. Pomijamy je, m y ś l ą c O j c z y z n a. A to Polska w potrzebie, krainy zagrożone. Biedniej, wyludniają się, degradują cywilizacyjnie, odpadają od kultury. Walczą o nie nieliczne, ale bogate w cudownych ludzi grupki miejscowych entuzjastów i ludzi czynu, a także samotni fantaści, wizjonerzy, rozproszeni ludzie obowiązku. Jest o co walczyć – bo nie tylko zasoby ludzi są tam wspaniałe – zasoby talentów i umiejętności, zasoby języka i opowieści, życzliwości i gościnności. Uroda przyrody i krajobrazu, gniazda zabytków, okolice historią sławne, miejsca pielgrzymkowe, tereny jakby stworzone do rozwoju turystyki, uprawiania sportów, do rodzinnego wypoczynku.

Nie dziwota więc, że od paru lat z uporem wracam do sprawy Kresów Ocalonych, które – w odróżnieniu od tamtych, co Utracone na zawsze – pozostają częścią wspólnej pamięci. Marzy mi się, że Kresy Ocalone zaczną być postrzegane jako szansa i obowiązek. Tym bardziej, że są one teraz Kresami ziem Schengen, wystawionym na wschód oknem wystawowym jednoczącej się Europy.

W tych rozmowach o Kresach Ocalonych warto nie tylko przypominać prawdy wielkie i ogólne. Myślenie o Ojczyźnie jest uczciwe, gdy zmierza ku konkretem, działaniom. I takim konkretem, takim pretekstem są ostatnio prace nad wytyczaniem przebiegu Najdłuższej Ścieżki Rowerowej Europy – agroturystyczno-kulturowego szlaku wzdłuż wschodniej granicy. Byłem kiedyś pomysłodawcą tej inicjatywy, ale żadna moja zasługa w tym, że ostatnio z europejskiej kasy trysnęły źródła finansów i jest tego – razem z koniecznym polskim wkładem własnym – pięćdziesiąt milionów euro. Tym wielkim pieniądzom grozi, że zostaną źle wydane. Z pewnością tak się stanie, jeśli przy obojętności społeczeństwa będą je wydawać urzędnicy urzędów marszałkowskich, którzy sami zza biurka wytyczą szlaki, zadecydują o kształcie infrastruktury, o sposobach promocji. Te szlaki zadowolą ich zwierzchników – polityków. A poza tym – faktury, dokumentacja przetargów będą w porządku, nikt się nie przyczepi. I trąby zagrają do przecięcia wstęgi.

Samotność jest częścią warsztatu pisarza. Dlatego dziś z największym trudem przychodzi mi – pisarzowi po siedemdziesiątce – iść do ludzi we wschodnich powiatach i namawiać ich, aby pojęli, że ten szlak może być szansą ich małych ojczyzn, może dać zarobek ich rodzinom, może być początkiem i zwornikiem wielu inicjatyw. Ten szlak może przemienić Kresy Ocalone. Bez cudów, za to stopniowo i skutecznie. Jeżdżę więc w tamte strony, gdy tylko mogę, upo-

minam się, kołaczę, odwołuję do wyobraźni. I tu otwieram przed Czytelnikami notatkę z jesiennej podróży na Ocalony Wołyń, w okolice Horyńca, Dłużniowa, Hrubieszowa, Hrebennego. Wyobraźnia jest istotnym składnikiem kultury. Wyobraźmy sobie – jesień roku 2009, puste asfaltowe drogi, rowery na polnych ścieżkach.

W Przewodowie w gminie Dołhobyczów świat rozszczepia się na warstwy. Była tu ukraińska wieś z prawosławną – niegdyś jednak unicką – cerkwią. Polacy, którzy tu również mieszkali, chodzili parę kilometrów do kościoła za górką, do Żniatynia; tak było przed wojną, a także po niej, kiedy nie było tu już cerkwi ani Ukraińców. Kościół katolicki pod wezwaniem św. Brata Alberta w Przewodowie zbudowano dopiero w Trzeciej Rzeczypospolitej. Tam, gdzie ponad kościołem jest kawałek ogrodu i kurnik, zaczyna się dębowa aleja. Bo był tu kiedyś dwór – po tym dworze nie zostało nic poza aleją i Matką Boską na wysokiej kolumnie: dziedzic postawił tę kolumnę dla upamiętnienia córki, która spadła z konia i zabiła się. Podworskie są jeszcze stawy przy kościele. W sobotę i w niedzielę zasiadają na brzegu największego stawu wędkarze. Nie pytają nikogo o zgodę, bo oni są z bloków po pegeerze, a za ich pamięci stawy były już pegeerowskie. Po wysiedleniu Ukraińców, za bierutowskiej władzy, założono tu, na czarnoziemach Zachodniego Wołynia potężny pegeer, mówiono „agromiasteczko w Przewodowie”. Z tego czasu zostały dziesiątki zdewastowanych budynków gospodarczych, widmowy, ziejący wybitymi oknami hotel dla sezonowych, sporo bloków i bliźniaków mieszkalnych, a także dom kultury, czynny do dziś dzięki gminnej dotacji. Są tam stoły pingpongowe, a dwie panie mają etaty i opiekują się dziećmi, które przychodzą porysować.

Za niewielkie pieniądze można by z tego hotelu zrobić stanicę dla turystów, tych samochodowych, tych rowerowych. Wypożyczalnia rowerów z małym warsztatem – to też parę sezonowych miejsc pracy.

Dziś na rozległych polach, na wołyńskich czarnoziemach, gospodarzy spółka polsko-zagraniczna. Potrzeba jej tylko niewielkiej części budynków po pegeerze, zatrudnia garstkę osób, bo pracują maszyny. Na ścianach budynków są jakieś tablice z europejskim wianuszkiem gwiazd, ale podejść nie można, bo brama zamknięta i napis: „Wstęp wzbroniony – teren prywatny”. Bliżej, przy ruinach kotłowni i nieczynnej stacji paliw jest tablica wmurowana w 2004 roku w sześćdziesięciolecie mordy. Bo w roku 1944, w kwietniu, zabili tu Ukraińcy kilkanaście osób – „za to, że byli Polakami i mieszkali na Polskiej ziemi”.

Parę kilometrów dalej, przed cerkwią grekokatolicką w Liskach, która dziś jest kościółkiem filialnym parafii Przewodów, płyta ku czci „86. osób, które zginęły tragicznie” – w kwietniu 1944. Ani słowa o tym, kim były te osoby. Ludzie pamiętają: to byli niewinni Ukraińcy – winni bestialstw zdążyli uciec.

Jeszcze dalej w stronę Dołhobyczowa, przed szkołą podstawową w Poturzynie mamy inny pomnik – pomnik Fryderyka Chopina – wzniesiony w roku

1992 dla upamiętnienia pobytu kompozytora we dworze przyjaciela, Tytusa Woyciechowskiego. Chopin gościł tu przez dwa tygodnie w 1830 roku i grywał na organach w kościele pod wezwaniem świętej Barbary w pobliskim Oszczowie. Kościół, zniszczony podczas walk w roku 1944, odbudowano znowu jako drewniany. Nieopodal świątyni przypomina niedawne dzieje mogiła siedmiu polskich żołnierzy z armii Hallera, którzy polegli podczas walk polsko-ukraińskich w maju 1919 roku.

Domy i bloki, w których w Przewodowie mieszkają emeryci po pegeerach i ich rodziny, są wszystkie porządne, z ukwieconymi ogródkami. Niektóre błyszczą nową farbą, nowoczesnymi dachówkami, umyтыми oknami. To domy tych, którzy pracują w Niemczech, Belgii, Hiszpanii. Pamiętają, jak tam ludzie mieszkają. Sąsiedzi starają się podciągnąć, nie chcą być gorsi, od tych, co wyjeżdżają, a gmina z Dołhobyczowa, gdzie zbliżają się wybory wójta, odnowiła szkołę – wybudowaną już w Trzeciej RP – puściła przez wieś porządne chodniki, a nawet wzdłuż nich nasadziła kwiatów. Ludzie wiedzą, jak powinno być. Pamiętają, co widzieli w bogatszych krajach. Ci, którzy zechcą wrócić i inwestować, będą mieli potencjał, kapitał doświadczeń z pracy tam, tym bardziej, że wielu z nich właśnie w sferze usług dorabiało.

Teraz w Przewodowie nie ma co robić; po ukończeniu gimnazjum młodzi przeważnie wyjeżdżają, wracają rzadko. Myślę o tym, jaką pamięć stron rodzinnych zachowują, jaką tożsamość mają ci nieliczni, którzy zostają na miejscu, pracując na farmach należących do spółek albo w gospodarstwach rodzinnych. Jaką historię, jaką pamięć mają przekazać młodym nauczyciele? A jest wśród tych nauczycieli Ukrainiec uczący angielskiego, Ukrainiec spoza Schengen, dojeżdżający z Sokala czy Rawy Ruskiej, tam mieszkający z rodziną.

Ta ziemia – nasza, czy zabrana? Tuż za granicą jest łańcuch odebranych Polsce żydowsko-polskich miasteczek: Sokal, Waręż, Bełz, Rawa Ruska. Ich mieszkańców przeważnie wymordowali Niemcy w pobliskim Bełżcu, ale pamięta się też udział ukraińskiej policji w wylapywaniu zbiegów z getta. Tak, jak pamięta się wysiedlenie, rok 1945 – czterysta osiemdziesiąt tysięcy Ukraińców wypędzonych na Wschód, potem akcję „Wisła” – prawie sto pięćdziesiąt tysięcy Ukraińców, Łemków i Bojków wypędzonych na Zachodnie Ziemie Polski. Czy pamięć historii tych stron nie jest dla człowieka za ciężkim brzemieniem? W Hrubieszowie przy obiedzie pytam Pawła Ciesielczuka, teścia mojego kuzyna, o tamte czasy. – Nie, nie czuje żalu do nikogo. Tatusia Niemcy uratowali przed Ukraińcami. Ale siostra teściowej, dziś osiemdziesięcioletnia, ta z Suhrynia, ona nie zapomni – dwie noce przeleżała w bruździe, patrząc, jak płonie jej wieś, słyszała, co się tam dzieje.

Czy można się przypisać do świata tak naznaczonego krzywdą, zemstą, okrucieństwem, czy można kochać ziemię tak nasiąkniętą niesprawiedliwością, cierpieniami i krwią? Czy Ciesielczukom, pogodnym i zasobnym hodowcom

fasoli i chryzantem, potrzebna jest kultura pamięci? Myślę, że obecność turystów, przybyszów z Warszawy, Łodzi, Poznania pomoże mieszkańcom Kresów Ocalonych. Trzeba będzie przyjezdnym coś o przeszłości opowiedzieć. I wtedy historia stanie się bardziej wspólna. A może bardziej ludzka, bardziej potrzebna żywym byłaby jakaś kultura zapominania?

Drewniana cerkiew grekokatolicka w Korczminie, datowana na rok 1531, odnowiona sumptem grekokatolickiej diecezji lubelskiej, ma w sobie doskonałość skrzypiec Stradivariususa. Według Emmanuela Lévinasa podstawowy przekaz semantyczny każdej ludzkiej twarzy to wezwanie „ty mnie nie zabijesz”. Słyszę, że to samo mówi smukła jak karawela cerkiewka z Korczmina, płynąca przez stulecia przez wołyński step wśród żagli jaworów. To samo chcieli zapewne powiedzieć ci, którzy postawili przy niej – w roku 2006 – kamienny krzyż z dwujęzycznym napisem: „Pamięci zmarłych wszystkich wyznań i narodowości. Wicznaja im pamiat’. Pokój ich duszy”.

Szlak, który tu powstanie, może być martwą materią, drogowskazami, wiatami, ścieżkami, wypełnieniem fragmentu rządowego programu, wydatkowaniem brukselskiego wsparcia. Może jednak stać się tak, że będzie się o nim myśleć – m y ś l ą c O j c z y z n a. Może trochę naiwnie wierzę, że uruchomi się wspólnotowe i gospodarskie myślenie, uda się wymusić partnerstwo między urzędnikami wielkich miast i tymi, którzy są tutejsi. Samorządowcy z Mielnika, środowisko fundacji Kresy 2000 z Biłgoraja, ekolodzy i leśnicy z Roztoczańskiego Parku Narodowego, inwestorzy z Narola, entuzjaści z grupy „Hrubieszów na rowerach” to ci, którzy już okazali zainteresowanie. Zabiegam o nie niezręcznie i bez środków, ale jestem uparty. Z wiosną tam wrócę, latem spróbuję znowu. Czas spędzony tam nigdy nie jest stracony. A Szlak Kresowy? Myślę o nim: „linia, która przebiega ku innym”.